

Miłość pragnie śmierci

WYDARZENIE | „Tristan i Izolda” w Baden-Baden to spektakl przejmujący, ale Mariusz Treliński podzielił nim widzów.

JACEK MARCZYŃSKI
z Baden-Baden

Stwierdzenie „premiera w Baden-Baden” brzmi egzotycznie, do czasu jednak, gdy zobaczy się tutejszy Festspielhaus z widownią na prawie 3 tysiące miejsc oraz pozna program koncertów i spektakli. Ów niemiecki kurort ma własny festiwal na każdą porę roku i co dwa-trzy dni gości największe gwiazdy. Gdyby jedna trzecia z nich przyjechała w ciągu roku do Warszawy, uznalibyśmy, że żyjemy w muzycznej stolicy Europy.

Sobotni „Tristan i Izolda” Richarda Wagnera otworzył Festiwal Wielkanocny, który w Baden-Baden od kilku lat zdominowała najlepsza z orkiestr – Berlińscy Filharmonicy. I to oni zagrali pod batutą najwybitniejszego dyrygenta, sir Simona Rattle’a. Reżyserię zaś powierzono Mariuszowi Trelińskiemu. Debiutował tu w 2009 roku m.in. „Jolantą” Czajkowskiego z Anną Netrebko i Piotrem Beczałą, a spektakl ten przez Petersburg i Warszawę dotarł później do Nowego Jorku.

Na obecną premierę stawili się pół operowej Europy, byli dyrektorzy teatrów oraz prawnuczka kompozytora i szefowa festiwalu w Bayreuth Ka-

tharina Wagner. Nie zabrakło dyrektora nowojorskiej Metropolitan Petera Gelba, bo ta inscenizacja zostanie we wrześniu tam pokazana, wcześniej zatrzymując się na kilka przedstawień w Operze Narodowej.

Statek jak więzienie

– To wyjątkowo trudna realizacja – tłumaczy „Rzeczpospolitej” scenograf Boris Kudlička. Projekt dekoracji musiał być od razu konsultowany i dopasowywany do scen w tych trzech miastach, a każda ma inne parametry. Czasu było bardzo mało, a „Tristan i Izolda” jest dziełem ogromnym, wymagającym powolnej pracy podczas prób.

Widz nie musi być jednak wprowadzony w takie techniczne łamigłówki, dla niego liczy się to, co ogląda podczas przedstawienia. Propozycja Mariusza Trelińskiego zaś jest zaskakująca, ale i typowa dla tego reżysera.

Zrezygnował on tym razem z pogmatwanych analiz psychologicznych, którymi nacechowane były jego premiery ostatnich sezonów, a które często prowadziły reżysera na manowce. „Tristan i Izolda” to spektakl klarowny i przejmujący. Treliński opowiada o



♦ Eva-Maria Westbroek (Izolda) i Stuart Skelton (Tristan)

uczuciach naznaczonych od zarania śmiercią. Tristan pokochał Izoldę, a ona jego. Nie mogą być jednak razem, bo ona zdradziłaby męża, on zaś króla, któremu ślubował wierność. Na zawsze może ich połączyć jedynie śmierć.

Ich życie jest więc nieustanną podróżą ku śmierci. Przypominają o tym efektowne wizualizacje Bartka Maciasa, ale i niezwykle dekoracje Borisa Kudlički. I akt zgodnie ze średniowiecznym eposem rozgrywa się na statku, którym Tristan wiezie Izoldę, by poślubił ją król Marek, ale ów okręt jest tu niczym więzienie, z którego nie można uciec. W akcie drugim królewski zamek przypomina statek, bo przecież wędrówka bohaterów trwa.

Im bliżej tragicznego finału, tym bardziej świat realny miesza się z nierzeczywistym, a upragnionym przez kochanków. Treliński mnoży symbole i wizje, frapujące, a niekiedy,

choć na szczęście rzadko, banalne, bo taki jest na przykład pomysł wprowadzenia postaci Tristana – małego chłopca.

Filmowe zbliżenia

Najbardziej ciekawy jest w spektaklu filmowy sposób prowadzenia narracji. Treliński wykorzystał tu doświadczenia z poprzedniej realizacji, z „Zamku Sinobrodego”, co nie jest bynajmniej zarzutem. Z kompletnego mroku wydobywa światłem małe fragmenty sceny, osiągając efekt podobny do filmowych zbliżeń. Sprzyja to budowaniu napięcia, dynamizuje długie monologi czy duety wagnerowskich bohaterów.

Obsada została dobrana bardzo dobrze, ale życie sprawia niespodzianki. Australijczyk Stuart Skelton, czołowy dziś Tristan świata, obdarzony ciemnym, mocnym głosem,

kondycyjnie wytrzymał do początku trzeciego aktu. Duński bas Stephen Milling okazał się tylko poprawnym królem Markem na tle choćby węgiersko-niemieckiego barytona Michaela Nagy (światny Kurwenal). Wszystkich jednak zdominowała Holenderka Eva-Maria Westbroek (Izolda), która dramatyczną moc swego głosu potrafiła wzbogacić ujmującym liryzmem.

Ważna orkiestra

To chyba także pierwszy spektakl Mariusza Trelińskiego, w którym przystał on na to, by tak ważną rolę odgrywała orkiestra. Ale też gdy tylko zabrzmiał początkowy motyw tristanowski, od razu było wiadomo, że wieczór będzie należał do Simona Rattle’a i Berlińskich Filharmoników. I niezależnie od sugestywnych, poetyckich obrazów scenicz-

nych w trzecim akcie to oni w znaczący sposób wykreowali w finale napięcie.

Gdy więc po przedstawieniu Simon Rattle wyszedł na scenę, widzowie powitali go owacyjnie. Pojawienie się Mariusza Trelińskiego podzieliło publiczność, okrzyki uznania złączyły się z buczeniem. W niemieckich teatrach taki spektakl przez jednych będzie bowiem uznany za zbyt tradycyjny, przez innych za zbyt nowatorski. Najważniejsze wskaże, że jest oryginalny.

Na „Tristana i Izoldę” musimy w Warszawie poczekać do czerwca, za to już we wtorek w Operze Narodowej premiera innego, mrocznego przedstawienia Mariusza Trelińskiego „Salome” Richarda Straussa, które powstało w koprodukcji z Operą Praską. ©



Więcej zdjęć ze spektaklu „Tristan i Izolda”

rp.pl/kultura